

w dół raz jeszcze. Znów płynął siedem dni i ponownie, gdy sięgnął dna, wypowiedział:

– Biorę cię w imieniu moim.

I po raz drugi, gdy zbliżał się do światła, resztki mułu popłynęły w dół, a on zjawił się na powierzchni z pustymi rękoma. Zawrócił wściekły i ruszył w głębinę po raz trzeci. Gdy dotarł do dna, powiedział:

– Biorę cię w imieniu mojego brata... i moim...

Sięgnął po piasek, ukrył szczyptę w ustach, resztę zaś zacisnął w dłoni i popłynął ku powierzchni. Tym razem powiodło mu się. Wyniósł małe ziarno i podał Perunowi bez słowa. Ten powstał i rzucił je na wodę. W ciepłe światła płynące z góry piasek zaczął pęcznieć. Jak z ciasta w piecu wyrasta chleb, tak rósł piękny, gładki i żyzny świat. Perun uśmiechnął się na ten widok, Weles zaś wykrzywił twarz w grymasie. Wydał policzki i splunął, a z jego ust wypadły drobiny błota, które ukrył wcześniej pod językiem. Pęczniejące okruchy padły na ziemię. W tych miejscach powstały bezdenne jaskinie, oblodzone szczyty, przepastne moczary. Skąły, na których nic nie rośnie.

Tak oto bracia stworzyli świat.

„Świat?” – spytasz zdumiony.

Masz rację. Powiniennem rzec „zaczątek świata”. Bo to był dopiero początek.

MATKA ZIEMIA

Chciałbym ci teraz opowiedzieć o kimś, kto zjawił się w tamtej chwili, w której rzucone na wodę ziarno rosło i pęczniało, w której rodził się świat.

Twierdzą niektórzy, że to Świętowit zesłał ją o poranku, że ukazała się na niebie tuż przed wschodem słońca. Inni powiadają, że wyrosła w deszczu i słońcu wprost z ziemi. Jedni i drudzy wiedzą, co mówią.

Ludzie nadali jej tyle imion, że nie spamiętałbyś, gdybym wymienił je wszystkie. Mokosz, Perperuna, Dodoła, Dzidzilela, Lela...

Matka Ziemia.

Tak ja ją będę nazywał.

Nie znajdę lepszych słów.

Ona jest matką wszystkiego, co zrodziła ziemia.

Gdy kłosa zboża kołyszą się niczym morskie fale, to znak, że ona idzie przez pola, łąki i lasy. Wszędzie tam, gdzie stąpa, ożywa czarna i cicha ziemia. Kwiecą się



chabry i maki, złoci pszenica, zielenią gaje. Motyle unoszą się znad łąk, rozbrzmiewają piski jaskółek, pająki snują wśród traw swe nici. W dłoniach niesie róg pełen miodu i wszelakich owoców. Rozmawia z ptakami.

Widziałeś na wiosnę ludzi w radosnym korowodzie. Niesli jaja i chleby w wiklinowych koszach. Prosilili o urodzaj i hojne plony. To jej składali dary.

Matka Ziemia i Perun mieli zostać małżeństwem. Jednością. To nie tajemnica.

Perun zsyła deszcz pośród gromów i błyskawic. Dzięki niemu Matka Ziemia owocuje. Tak rodzi się pokarm, z którego siły czerpie każda istota.

„Czy stali się jednością?” – spytasz.

Poczekaj.

Wiesz już o Matce Ziemi.

Teraz chciałbym, byś dowiedział się, jak Perun i Welles, boscy bracia, uformowali żywe istoty, jak stworzyli człowieka. I co stało się później. I dlaczego nigdy już nie będzie zgody między nimi.

WYSTARCZY TEJ ZIEMI

Rozejrzyj się, przyjacielu.

Cóż za widok!

Przyprowadziłem cię na tę górę, bo w tym właśnie miejscu znajduje się pępek świata.

Wokół nas niebo dotyka Ziemi. Z każdej strony. Żyjemy pośrodku tego okręgu. Tak jak orzeł składa jaja w samym środku gniazda.

Wyobraź sobie, pewnego razu Perun stanął w tym miejscu. Był zatroskany. Wyteżał wzrok, ale końca świata nie mógł dojrzeć.

„Ziemia rośnie nieustannie. Jeśli jej nie powstrzymam, miejsca niedługo zabraknie na wodę, niebo i całą resztę. Jak ją powstrzymać?” – rozmyślał.

Przywołał mądrą i pracowitą pszczołę.

– Śledź mojego brata Welesa. Leć za nim wszędzie, dokąd się uda. Czuję, że coś przede mną ukrywa. Dowiedz się tego, pszczołko – poprosił.

Poleciała pszczoła, by wypełnić zadanie.

Uwijala się pośród kwiatów dla niepoznaki. Brzęczała cichutko. Krążyła wokół Welesa wytrwale. Pewnego dnia przysiadła mu na ramieniu, gdy zmęczony lepieniem kolejnych potworów spoczął nad brzegiem morza.

– Ech, głupi ten mój brat – zamruczał Weles do siebie. – Zamartwia się, że Ziemi przybywa, a przecież jedyne, czego trzeba, to wytyczyć patykami cztery strony świata i powiedzieć: „Wystarczy tej Ziemi”.

Wzbila się pszczoła do lotu.

Usłyszał Weles bzyczenie. Ścisnął ją wpół palcami, ale wyrwała się.



– Oby ten, który cię przysłał, jadł odtąd twoje łajno! –
wykrzyczał jeszcze i prychnął ze złością, ale pszczoła była
już daleko.

★

Wysłuchał jej Perun z uwagą, pochwycił kij i nakreślił nim krzyż na ziemi. Wyznaczył w ten sposób cztery strony świata.

Wbił kij i zawołał: „Wystarczy tej Ziemi!”, a jego głos poniósł się echem po najdalsze krainy.

Tak właśnie było. Perun zakreślił krzyż i Ziemia przestała rosnać.

Widziałeś, być może, jak ludzie kreślą znak krzyża na bochenku chleba, zanim rozkroją go na pajdy. Dlaczego to robią? Bo chleb dojrzał w piecu, tak jak Ziemia wyrosła w cieple pod kopułą nieba.

Chleb jest Ziemią.

Ziemia jest chlebem.

DRZEWO

Wbity w ziemię kij zakiełkował. Zazielenił się listowiem, gałęziami sięgnął słońca. Wrósł korzeniami ku najgłębszym otchłaniom. Rósł tak długo, aż połączył wszystkie trzy światy: podniebny Wyraj, Ziemię, po której stąpamy, oraz mroczną Nawie.

Narodziło się Drzewo. Kosmiczne drzewo życia.

Gdybyś spojrział na nie z daleka, rzekłbyś, że przypomina dąb. Rozłożysty, niebosiężny, ciężki, krzepki, o liściu szerokim. Cztery wichry szumią wśród gałęzi, gwiżdżą, szarpią, kołyszą konarami. Każde stworzenie, duże czy małe, żyje wewnątrz Drzewa lub w jego cieniu. My także.

Wysoko, w koronie, w bliskości słońca Perun czuje się najszczęśliwszy. To jego świetliste królestwo. Wyraj. Ciepła to i cicha kraina. Pszczoły krążą nad kwiatami z łagodnym bzyczeniem, ptaki wiją gniazda wśród zieleni, dumny orzeł ponad nimi wszystkimi.



Tam też przesiaduje w swym gnieździe Ognisty Ptak. Niezwykle to stworzenie, pióra ma gorące niby płomień, skrzydła potężne, ogon długi i rozłożysty. Podskakuje niespokojnie, sypie iskrami na wszystkie strony. Głowę w diamentowej koronie trzyma zawsze wysoko. Nic nie skryje się przed jego bystrym okiem.

Czasem w błękitnych prześwitach ukaże się stwór osobliwy. Ma ciało psa, węzowaty ogon i skrzydła ptaka. Rozkłada je szeroko, szybuje, ze świstem zatacza kręgi w powietrzu. Warczy przy tym, kły szczerzy. To Simargł, wierny sługa Peruna.

Strzeże Drzewa niczym pies podwórka.

Tak mówią, choć niewielu go widziało.



Drzewo wyrosło wysokie, ale też zapuściło korzenie głębiej, niż mógłbyś sobie wyobrazić.

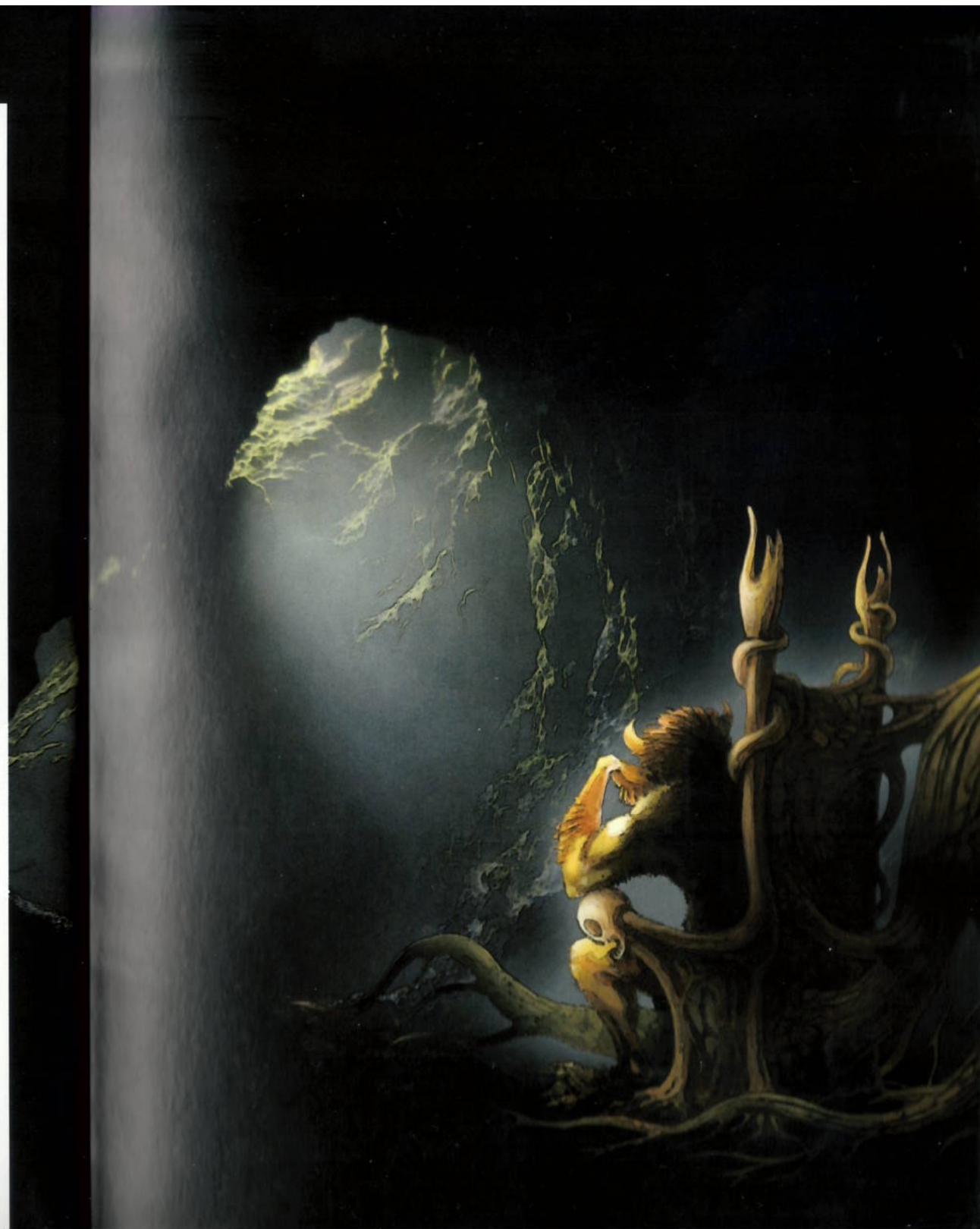
Choć tego nie widzisz, w Nawii, pod naszymi stopami, tętni życie.

Wejścia do podziemnego świata strzeże potężny smok. Zostawmy go na razie, opowiem ci później o tym stworzeniu. Dalej w ciemnościach gnieźdzą się sykliwe żmije, z cichym szelestem rodzą się czerwie i inne potwory. Wystarczy przekroczyć granicę mroku, a otoczą cię mieszkańcy tej krainy.

Usłyszysz piskliwy chichot. To strzyga. Upiorna istota na kształt kobiety podobnej do ptaka. Strzeż się jej. Szpony ma ostre, kruczoczarne skrzydła, krwią się żywi. Innym razem ujrzysz rogatego stwora o czarnej czuprynie. Rubinowe oczy świecą w ciemności, długim ogonem strzela jak z bicia. Stóp nie ma, a kopyta do kozich podobne. To czart, sługa Welesa, strażnik jego nieprzebranych skarbów. Kuleje na jedną nogę jak jego pan. Niech cię to jednak nie zmyli. Szybki jest, przebiegły i wielce złośliwy.

Całe to podziemne królestwo upodobał sobie Weles. Zwykł przesiadywać na diamentowym tronie, snuć szalone plany z dala od słońca i śpiewu ptaków. Otulał się czasem niedźwiedzim futrem. Rzekłbyś wówczas, że to nie bóg, a zwierz jakiś dziki, kosmaty, ponury.

Nieszczęsny nawet nie przypuszczał, że podziemna kraina stanie się jego więzieniem. Już wkrótce.



Wilki go nie cierpią. Wyją wściekle na jego widok. Biegną za nim. Kąsają bez litości. Gdy dosięgną, ubywa Księżyc. Bywa, że niknie zupełnie.

„Pozarły go” – myślisz.

I mylisz się.

Minie dzień, dwa... ujrysz go znów na wieczornym niebie.

Rodzi się małeńki. Z każdym dniem przyrasta, okrągłeje. W końcu starzeje się. Kroczy swym szlakiem pomarszczony, zgarbiony jak staruszek. Umiera.

Ale śmierć nie jest dla niego kresem wędrówki. Nim się spostrzeżesz, odrodzi się, podobnie jak odradza się wszystko wokół nas na tym świecie.

Małeńki niczym dziecko w kołysce wzejdzie znów nad horyzont Chors, książęcy syn, strażnik nocnego nieba.

SMOKI

Gdy idziesz lasem, raz po raz rozlegają się wokół szelesty. Ciche, gwałtowne, niespokojne. To beznogie dzieci Welesa kryją się przed słońcem wśród poszycia. Smukłe, zwinne, zrodzone w ciemności. Węże.

Jeśli wąż przez siedem lat nie ujrzy człowieka, nie usłyszy ludzkiego głosu, ogromnieje. Łapy mu rosną i pazury, wielkie skrzydła obleczone błoną. Gruba zielona łuska pokrywa grzbiet. Potwora takiego zwa smokiem. Lub zmijem.

Smoki bywają olbrzymie. Tak wielkie, że mogłyby połknąć Księżyc. Ponoć mają nie jedną, a trzy głowy. Czasem więcej. Nie wiem. Choć wiele o nich słyszałem, nie widziałem smoka na własne oczy. Trudno je zobaczyć. Podobnie jak węże unikają ludzi. Kryją się w jeziorach i rzekach. Przesypiają dnie w głębokich pieczarach. Gdy się zbudzą, skrzydłami i długimi ogonami wzniesają wicherę.

Zaganiają bydło i owce do podziemnego królestwa. Zdarza się, że porywają młode kobiety na pożarcie.

Gdy ujrzysz tęczowy łuk ponad horyzontem, wiedz, że to smok wysysa wodę z rzeki gdzieś za polem, za lasem. Zamknij ją w swych trzewiach i zaniesie swemu panu, Welesowi... Chyba że na jego drodze stanie planetnik, strażnik nieba.

Przypatrywał się Perun, jak posyła Weles smoki, by panoszyły się po bezkresnym niebie. Obserwował, jak pustoszą świat te pozbawione litości potwory.

„Tak być nie może” – pomyślał.

Wyprawiał na niebo planetników w szerokoskrzydłych kapeluszach.

Planetnicy posiadają wielką moc. To oni chwytają swymi powrozami chmury i przeciągają je po nieboskłonie. Ratuja nas w ten sposób przed gradem, ulewą lub powodzią. I przed smokami.

Chwała im!

A czy można zabić smoka?

To nadzwyczaj trudne.

Mówią, że z popiołów martwego gada lęgną się węże, beznogie dzieci Welesa. Zapewne to prawda. Jak odradza się wszystko na tym świecie, tak odradzają się te skrzydlate bestie.



MARZANNA I JARYŁO

I. „PRZEŻYŁEM SWÓJ CZAS W KRAINIE MROKU”

Jedni mówią, że to opowieść o śmierci. Inni, że o miłości.

Posłuchaj, przyjacielu. Sam zdecyduj.

Był ranek cudownie słoneczny. Młoda bogini, piękna niczym świtanie i zimna niczym lód, o włosach w kolorze lnu i spojrzeniu pełnym smutku, siedziała pod Drzewem. Plotła wianek pogrążona w tęsknocie i zadumie. Łąki Wyraju srebrzyły się w promieniach słońca. Śnieżnobiałe gęsi pasły się wśród łagodnego brzęczenia pszczoł.

Marzanna, takie imię nosiła bogini, była najmłodszym dzieckiem Peruna i Matki Ziemi.

Tego ranka cudownie słonecznego poprzez łąki Wyraju kroczył biały rumak. W nabijanym szlachetnymi kamieniami siodle siedział strojny młodzieniec w płaszczu z zielonego aksamitu, błękitnych spodniach i czapie

z kuniego futerka. Krótki miecz zwisał mu u pasa. Na nogach miał buty, żółte, wysokie po kolana, ubłocone i zdarte od długiej wędrówki.

Jaryło, takie imię nosił młody bóg, pewną ręką prowadził konia, a tam, gdzie się pojawiał, pola okrywały się zielenią, lasy porastały liściem, jak gdyby jego dumne, jasne i pełne radości spojrzenie budziło świat do życia.

Poderwała się Marzanna na widok nieznajomego. Podbiegła, by lepiej mu się przyjrzeć, a może powitać w jasnej i cieplej krainie. Złote jabłko wypadło jej z rąk i potoczyło się po ziemi. A może specjalnie je upuściła?

Jaryło zatrzymał konia, zeskoczył i podniósł owoc. Ujął dłoń Marzanny. Wpatrzony w jej smutne oczy przemówił:

– Przeżyłem swój czas w krainie mroku po drugiej stronie świata. Widziałem nieprzebrane skarby, które kryje ziemia. Ganiałem na mym wierzchowcu po polach lśniących szczerym złotem, nigdy jednak nie widziałem istoty tak pięknej...

– Przeżyłam swój czas, czekając na ten dzień – odparła.

W tej właśnie chwili kukulka odezwała się radosnym wołaniem w koronie Drzewa. Ptak poderwał się z suchej gałęzi i z trzepotem uleciał w powietrze. Wąż z szelestem zniknął pomiędzy korzeniami. Śnieżnobiałe gęsi uniosły głowy ponad drżącymi trawami.



Pośród zielonych łąk Wyraju Marzanna i Jaryło ślubowali sobie miłość. Ona boso, on w butach ubłoconych i zdartych od długiej wędrówki tańczyli tego poranka na mokrej od rosy trawie.

Bogini wręczyła ukochanemu klucz do wrót Wyraju. Złoty, ciężki, wykuty w perunowej kuźni.

II. „JAKIEGO JEST RODU?”

Gdy przekroczyli bramę królestwa, Jaryło odprowadził konia do wodopoju, Marzanna zaś pobiegła prosto do podniebnej kuźni. Zapragnęła opowiedzieć o wszystkim ojcu, podzielić się szczęściem, które ją spotkało.

– Ojczy, przybył dziś do nas młodzian na białym koniu. Pokochałam go. Wzięliśmy ślub pod Drzewem.

– Jakiego jest rodu? – spytał Perun.

– Mówi, że dorastał w krainie po drugiej stronie świata.

Perun nic nie odrzekł. Ściągnął brwi i ścisnął swój młot, aż zaiskrzyło. Spojrzał na łąki i lasy, na wzgórza sosnowe i wszystkie siedem mórz. Pomyślał o Nawii. Wspomniał swego brata Welesa, władcę podziemnego królestwa.

Wiedział, kim jest młodzieniec w zielonym płaszczu i zdartych butach. Wiedział, że musi powiedzieć córce prawdę, choć sprawi jej tym ból większy niż cokolwiek, co mógłby uczynić.

– Nie możesz go poślubić, córko – rzekł.

Przez chwilę milczał, jakby czekał na odpowiedź, Marzanna jednak ani drgnęła. Jej oczy lśniły tym samym smutkiem, co zawsze.

– Jaryło jest twoim bratem – wytłumaczył, a po chwili dodał: – Urodziłaś się w ciemną bezksiężycową noc. Najpierw ty, a w chwilę potem twój brat bliźniak. Nim zdążył wydać pierwszy krzyk, wąż, sługa Welesa, a może był to sam Weles pod postacią węża, uprowadził chłopca i zawiódł go do Nawii. Gdy spostrzegłem, co się stało, było już za późno. Nie mogłem ścigać go tak daleko. Nie mam wstępu do podziemnego królestwa. Ciskałem piorunami dzień i noc. Matka Ziemia płakała bez ustanku. Niestety, nigdy już nie ujrzeliśmy naszego syna. Ty i Jaryło dorastaliście rozdzieleni, ty w podniebnym Wyraju, twój brat w mrocznej Nawii, nic wzajemnie o sobie nie wiedząc.

Spuścił wzrok i westchnął ciężko.

Łzy popłynęły po policzkach Marzanny, ale Perun już ich nie ujrział. Bogini odwróciła się. Pełna smutku i żalu udała się na poszukiwania... brata.

III. „ON CZEKA NA MNIE”

Wydalo jej się, że śpi.

Podeszła i potrząsnęła za ramię, lecz Jaryło ani drgnął. Oczy miał zamknięte, twarz wykrzywioną bólem, w dłoni trzymał nadgryzione jabłko, to samo, które podniósł z ziemi na łące pod Drzewem. Jeden kęs wystarczył, by młodzieniec zapadł w sen głęboki niczym śmierć.

„Twe imię oznacza śmierć, Marzanno” – przypomniały jej się słowa ojca. – „Pamiętaj, że jesteś boginią śmierci, wszystkiego, co ginie i umiera”.

Ku swej największej rozpaczy zrozumiała, że jej podarunek, złote jabłko, odesłał Jaryło do Nawii, krainy umarłych po drugiej stronie świata. Poderwała się zrozpaczona. Minęła wrota Wyraju i pognęła bosą przez zielone łąki. Biegła wiele dni bez wytchnienia, aż stanęła nad brzegiem rzeki pokrytej płomieniem, granicy, która rozdziela obie krainy.

„On czeka na mnie po drugiej stronie” – pomyślała i skoczyła.

Porwał ją nurt. Jasna suknia rozbłysła płomieniami. Unosiła się na powierzchni, falowała, wreszcie zniknęła w otchłani. Po chwili zamknęła się nad nią woda jak noc czarna.

Czy tak kończy się ta historia?

I tak, i nie. Losy bogów rządzą się bowiem swoimi prawami.

Gdy wiosną nastanie ranek cudownie słoneczny, zazielenią się znów łąki, okwiecą drzewa, a śnieżnobiałe gęsi uniosą głowy ponad drżącymi trawami, obudzi się ze snu Jaryło, powróci z królestwa po drugiej stronie świata.

Przybędzie na białym rumaku, w zielonym płaszczu i zdartych butach. Znów spotka bosonogą Marzannę o włosach jasnych jak len i oczach pełnych tęsknoty. Potoczy się znów złote jabłko po ziemi. Odezwie się wołanie kukulki.

Co stanie się potem?

Wiesz dobrze, przyjacielu. Znasz tę historię. Już ci mówiłem...

Jedni mówią, że to opowieść o miłości. Inni, że o śmierci. Myślę, że jedni i drudzy mają rację.